



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Historia o niezwykłym rycerzu Zygfrydzie : ciekawe i
zajmujące opowiadanie z przeszłości.**

Liczba stron oryginału

70

Liczba plików skanów

70

Liczba plików publikacji

71

Sygnatura/numer zespołu **KD I 00002**

Data wydania oryginału **[1889]**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



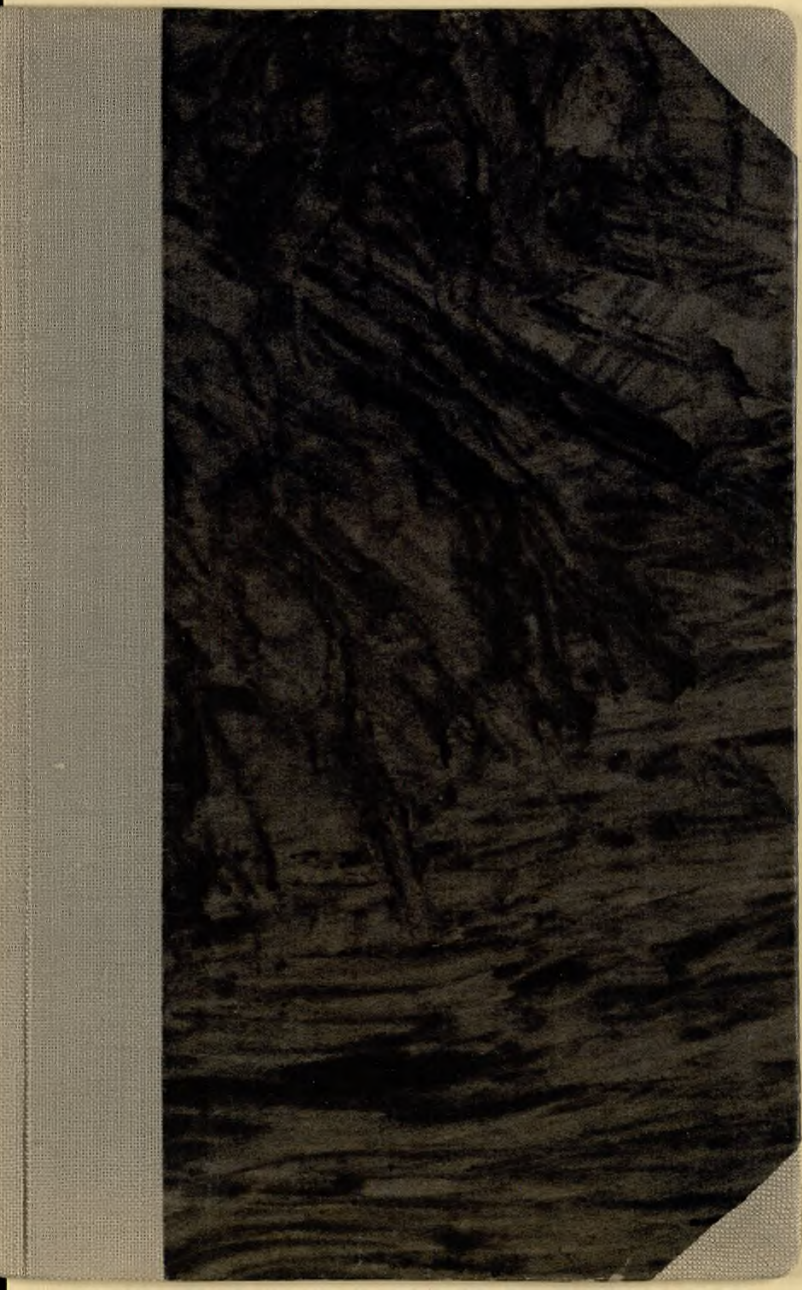
**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



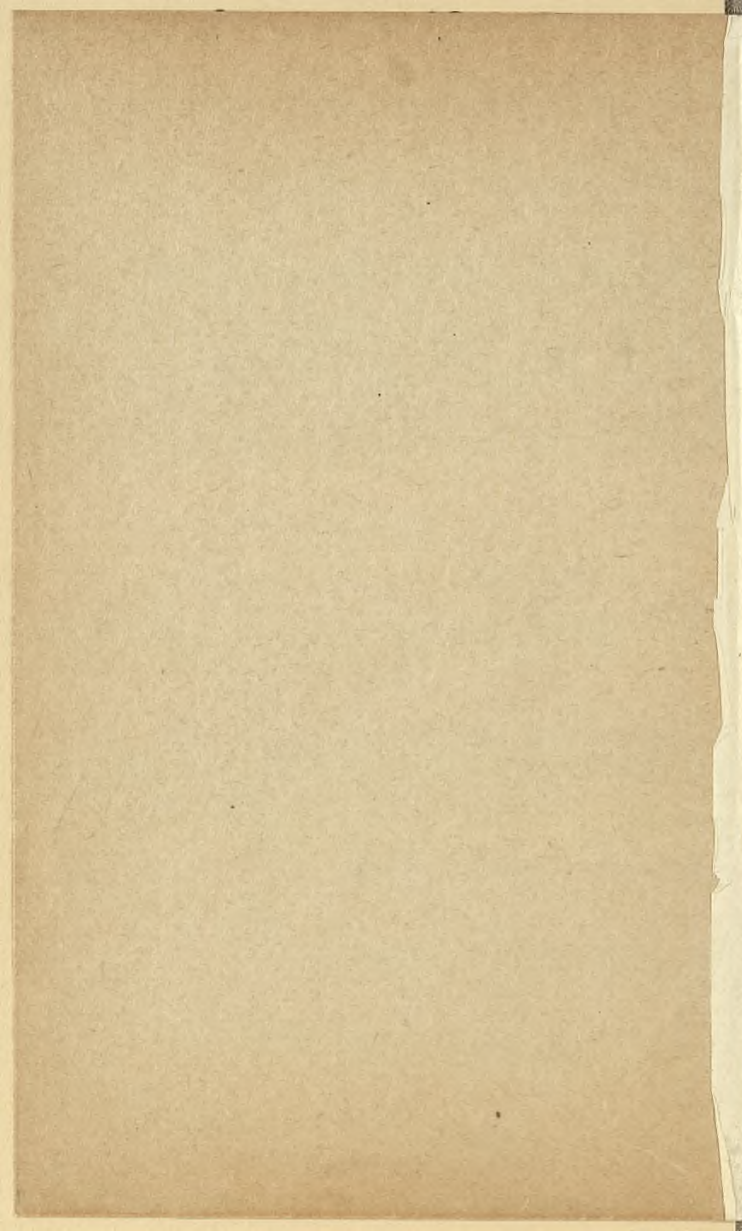








42



Historya

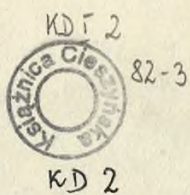
o niezwyciężonym rycerzu Zygfrydzie.

Ciekawe i zajmujące opowiadanie z przeszłości.



Gieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera



K 9/94
20 000,-



bardzo dawnych czasach, gdy jeszcze liczni, sławni zjawiali się na ziemi bohaterowie i miecz swój podnosili w obronie niewinnie uciśnionych, żył w Niderlandach król imieniem Zyghard. Miał on w pożyciu z swą małżonką tylko jedyne go syna, którego ochrzczono Zygfrydem. Rósł on i męźniał nadzwyczaj prędko, nie okazywał jednak wielkiej miłości ku rodzicom, bo jedynym jego staraniem było jak najprędzej zostać od nikogo niezależnym panem swojej woli. Rodzice smucili się z tego powodu bardzo, a król sam zwołał pewnego razu walną radę, aby coś stanowczego o losie syna zadecydować. Najmądrzejsi doradcy skłaniali się przeważnie ku temu, aby młodzieńca wysłać w świat, tam nabierze bowiem doświadczenia i na dzielnego może się wyrobić rycerza. Król przystał chętnie na tę propozycją — sam bowiem nie wiedział innego środka poprawy swego syna. Ale królewicz ubiegł życzeniu ojca; nie czekając bowiem na jego zezwolenie, pewnego pięknego poranku wymknął się cichaczem z zamku i powędrował w świat. Długo szedł tak przez dzikie

jakieś pustynie i lasy, nie natrafiwszy nigdzie na żadną siedzibę ludzką; żołądek w nieprzyjemny sposób począł mu się już naprzykrzać, zmęczone nogi wypowiedziały mu posłuszeństwo i już żałował, że tak niebacznie dom swoich rodziców porzucił. Wreszcie po długich trudach dotarł do jakiejs wioski; tu wstąpił do kowala, pytając się go, czy przypadkiem nie potrzebuje pomocnika. Głód zmusił go do tego postanowienia, dwa bowiem dni nic nie jadł, podróżą umęczył się bardzo — żebrać nie pozwalała mu wrodzona duma, a do rodziców wstydził się powracać. Silnie zbudowany młodzieniec spodobał się kowalowi bardzo, dał mu więc jeść i pić i przyjął go na nocleg. Na drugi dzień zaprowadził go majster do kuźni, do roboty, aby przekonać się, co umie. Gdy tylko Zygfryd młot ujął do ręki, uderzył nim z taką siłą na sztabę żelaza, że natychmiast pękła na dwoje, a kowadło aż do połowy zaryło się w ziemię. Przestraszył się tém bardzo kowal i chwycił nieporęcznego czeladnika za włosy, chcąc go za szkodę ukarać, ale Zygfryd nie przyzwyczajony do takiego sposobu obchodzenia się z nim, wyrwał się szybko majstrowi, chwycił go za kołnierz i jednym ruchem powalił o ziemię. Gdy wreszcie po jakimś czasie zwyciężony i o-

głuszony majster przyszedł do siebie, powstał z ziemi i począł wołać parobka swego, aby mu pospieszył na pomoc. Ale Zygfryd bez zbytniego nawet wyteżenia, postąpił z nim tak samo, jak z majstrem. Odtąd kowal namyślać się począł, jakby groźnego czeladnika od siebie usunąć.

Nazajutrz zawołał go więc do siebie i rzekł doń: „Idź do lasu i przynieś mi worek węgla od mieszkającego tam węglarza, albowiem ich do kuźni bardzo potrzebuję!“. W tym rozkazie inna jednak myśl kowala się ukrywała; wiedział bowiem, że w lesie tym przebywa ogromny smok, któremu podstępem na pastwę odda Zygfryda i tym sposobem na zawsze od niego się uwolni. Młodzieniec nasz, nie przeczuwając nic złego, udał się niezwłocznie w drogę, gdy tylko jednak wszedł w las, wyskoczył na niego olbrzymi smok, zionąc ogień z otwartej paszczeki. Dzielny Zygfryd nie przestraszył się jednak bardzo — nie namyślając się długo, wyrwał w pobliżu niego stojące drzewo z korzeniem i rzucił je z całej siły na zbliżającego się potwora; smok uwiązł w jego gałęziach i nie mógł się z miejsca poruszyć. To właśnie było celem Zygfryda. Wyrwał tedy jedno drzewo po drugim i rzucał je na potwora, a gdy już spory

stós urosł w ten sposób, pobiegł do nieopodal stojącej chatki węglarza, przyniósł zapalone łuczywo i podpalił go. Pożar wzmógł się w krótcie i spłonęło niebawem wszystko drzewo razem ze smokiem. Spodem pod pniami i gałęziami palących się drzew strumieniem płynął tłuszcz smoczy; Zygfyrd zanurzył w nim palec, a gdy go wyjął, przekonał się, że okrył się rogową powłoką, która tejże chwili stwardniała jak kamień. Korzystając z tego, posmarował sobie całe ciało tym tłuszczem, z wyjątkiem wąskiego miejsca na plecach, dokąd rękami nie mógł dostać. To jest właśnie powodem dla czego później niezwyoczonym rycerzem nazwany został.

Po jakimś czasie spostrzegłszy, że całe ciało jego po wystygnięciu pokryło się rogową, twardą powłoką — pomyślał sobie Zygfyrd: „Teraz nie masz się niczego obawiać, jesteś opancerzony lepiej niż niejeden rycerz; możesz iść śmiało, dokąd zechcesz, bo ciało twoje jest skutecznie przeciw wszelkim ranom zabezpieczone!“. Ufny więc w swoją moc, nie wrócił już Zygfyrd do kowala, ale udał się na dwór króla Gilbalda, słynącego naokół ze swych czynów, który go też zaraz dla pięknej postawy jak najuprzejmiej przyjął. Król ten rezydował

w Wormacyi nad Renem i miał trzech synów i jedną śliczną córkę imieniem Florygunda. Otóż zdarzyło się pewnego dnia, że gdy królewna wyglądała przez okno swojej komnaty, nadleciał ogromny smok, ziejąc takim ogniem z paszczy, iż zdawało się, że cały zamek stoi w płomieniach. Królewna nie ochłonęła jeszcze z przestachu, gdy straszliwy potwór zbliżył się do niej, porwał w pół i uniósł z sobą po za góry otaczające miasto. Rodzice przejęci żalem poczęli rozpaczać, królowa zaś płakała do tego stopnia, że ociemniała w krótkim czasie. Potwór tymczasem zaniósł dziewczę na swą skałę zwaną »smoczą skałą«, tu wsparł głowę na jej kolanach i usnął — a chrapał tak głośno, iż cała skała trzęsła się w swych posadach. Można więc sobie wyobrazić rozpacz królewnej, gdy się spostrzegła w mocy takiego potwora i przy nim nadal pozostać miała; płakała też i narzekała ustawicznie. Gdy nadeszły święta wielkanocne, przemienił się smok w postać człowieka. Wtedy stanęła przed nim księżniczka i rzekła: »Czemuż tak nie po ludzku postąpiłeś sobie ze mną człowieku? Oto porwałeś mnie dla niewiadomych przyczyn i już od długiego czasu trzymasz w tej puszczy, gdzie ledwie korzonkami roślin i ziołami żyć muszę. Nic ci

przecież nie przyjdzie z méj obecności, pozwól mi więc do rodziców moich powrócić!« Ale potwór odpowiedział: »Prośba twoja jest daremną — nie ujrzysz ty już więcej ani ojca, ani matki, ani jakiegokolwiek innego człowieka. Ale nie lękaj się, u mnie nie stanie ci się nic złego; po kilku dniach przemienię się znowu w smoka, a dopiero za pięć lat powrócę na zawsze do ludzkiej postaci, w jakiej mię widzisz. Tak długo musisz więc czekać na mnie, albowiem wtedy pojmę cię za żonę!« Usłyszawszy to księżniczka, zadrżała z trwogi i nie wiele brakowało, aby upadła zemdlona na ziemię. Poczęła wołać Boga na pomoc, płakać i łamać ręce, aby ją wybawił z tego przykre go położenia. »Ach«, wołała smutnym głosem, »gdyby bracia moi wiedzieli o mojem więzieniu, poświęciliby chętnie życie swoje, aby mnie uwolnić!« I tak w ciągłym cierpieniu i łzach upływały dni biednej dziewczycy, iż często omdlewała z wielkiej bolesti. Jój uwodziciel tymczasem przemienił się znowu w smoka i strzegł jój troskliwie.

Król Gilbald i jego małżonka tymczasem umierali z tęsknoty i niepewności nad losem swéj córki i wysyłali posłów na wszystkie strony, aby się cokolwiek o nią dowiedzieć. Doszła też ich w krótcie smutna wiadomość,

że córka ich pozostaje w mocy ogromnego smoka i że tylko jeden rycerz i to narażając się na wielkie niebezpieczeństwa, może ją ze »smoczéj skały« uwolnić. Od czasu porwania księżniczki upłynęło już cztery lata, a przecież dotąd nie znalazł się jeszcze żaden rycerz, któryby się podjął przywrócić jéj wolność. Zygfryd w czasie tym wyrósł na dzielnego męża i ćwicząc się codziennie w rycerskich zapasach, wyrabiał w sobie niezmierną siłę i odwagę. Przechodząc przez las chwycił sobie, ot tak dla zabawki, niedźwiedzie i lwy i wieszał je na drzewach, czemu się wszyscy dziwili. Pewnego razu, chcąc zapomnieć o swéj boleści, wybrał się król Gilbald na polowanie; nie zważając na towarzyszy myśliwskiej wyprawy, oddalił się od nich bezwiednie, i w krótkce ujrzał się w nieznanéj części lasu sam na sam z Zygfrydem tylko. W tém nagle z gęstwiny wyskoczył ogromny dzik i rzucił się wprost na króla. Zagrożony podniósł już włócznią, chcąc nią przebić przeciwnika, gdy Zygfryd uprzedził go; poskoczywszy bowiem naprzód z podniesionym mieczem, jednym zamachem odciął dzikiemu zwierzęciu głowę. Od téj chwili i król sam szanował wielce Zygfryda i podziwiał jego olbrzymią siłę. W jakiś czas potém zgromadziło się w Wormacyi

wielu królów i dostojnych panów, aby króla Gilbalda po stracie córki pocieszyć. Ku uczczeniu tych znakomitych gości, wyprawił król ogromne turnieje i igrzyska rycerskie, aby publicznie pochlubić się takim dzielnym rycerzem, jakim był Zygfryd. W oznaczonym dniu stawilo się wielu rycerzy z obcych nawet krajów, chcąc popisać się swą zręcznością i odwagą i ubiegać między innymi o palmę pierwszeństwa. Walka trwała długo i była wielce urozmaicona; wielu rycerzy zostało ranionych, wielu strąconych z siodła, tylko jeden Zygfryd przez cały ciąg walki okazał się niezwyciężonym — w nagrodę więc swęj siły i zręczności po skończonych turniejach otrzymał złoty łańcuch z drogim zawieszonym na nim kamieniem. Wszyscy obecni królowie i książęta nie mogli się dosyć nadziwić Zygfrydowi i spowodowali, że po skończonych zabawach pasowano go na rycerza. Gdy wreszcie goście rozjechali się, Zygfrydowi przypadł zaszczyt dostojnym panom przez większą część drogi towarzyszyć.

Powróciwszy do zamku, zastał króla i królową pogrążonych w wielkim smutku, właśnie bowiem tok rozmowy zwrócił się na ukochaną Florygundę. »Nie troszczcie się tak bardzo i nie oplakujcie jeszcze jęj straty« — pocieszał ich Zygfryd — »z po-

mocą Bożą bowiem może mi się uda córkę waszą z mocy potwora uwolnić!« Nie-
szczęśliwi rodzice ucieszyli się tém bardzo,
znali bowiem siłę i odwagę Zygryda i prze-
konani byli, że jeżeli jeden rycerz może
córcie ich wolność przywrócić, to tym ryce-
rzem nie może być kto inny, jak Zygryd.
Na drugi dzień rycerz nasz wziął według
zwyczaju broń, siadł na konia, spuścił ze
smyczy psy i udał się na polowanie. Za-
głębiał się coraz dalej w las gęsty, nie zwa-
żając wcale w którą udaje się stronę, dotąd
bowiem nic nie upolował, a bez zdobyczy
wstydził się powracać do domu. Wierzcho-
wiec jego zmęczył się niezmiernie przedzie-
raniem się ciąglem przez gęstwinę, dla tego
też Zygryd zsiadł zeń, puścił go wolno, aby
się napasł, sam zaś zamierzał położyć się
pod cieniem drzewa na trawie, aby nieco
wypocząć. W tém nagle z gęstwiny leśnej
wyskoczył i rzucił się ku niemu ogromny
lew z rozwartym szeroko pyskiem. «Że
też człowiek ani chwilki spokojnie wytchnąć
nie może!« — mruknął Zygryd i wydo-
bywszy miecza, wbił go aż po samą rękojeść
w paszczę zwierzęcia, które też natychmiast
krwią brocząc, upadło na ziemię. Podniósł
je wtedy i powiesił na poblizkiem drzewie,
sam zaś wsiadł na konia i zwrócił się ku

domowi, albowiem się już zmierzchać poczy-
nało. Ale zaledwie kilkaset kroków ujechał,
poznał, że znajduje się na mylnéj drodze,
albowiem las stawał się coraz gęstszym, tak
iż w końcu zmuszony był zsiąść z konia
i prowadzić go za uzdę za sobą. Trwało
to może dobrą godzinę, gdy dobrze uzbro-
jony rycerz zastąpił mu drogę i zawołał:
»Kimkolwiek jesteś człowiecze, ciężko odpo-
kutujesz za beczelną śmiałość, iż wstąpiłeś
w ten las. Dla tego lepiej oddaj się na
moją łaskę, bo inaczej z pewnością zginiesz
z méj ręki!« Mówiąc to wy dobył błyszczący
miecz z pochwy, ale Zygfryd nie był z tych,
którzy czegoś się ulęką. wyciągnął więc
także miecz równocześnie i zawołał: »Odkądże
to istnieje prawo zaczepiania spokojnych
ludzi na drodze? Ty sam swego postępuku
ciężko pożałujesz — chcąc więc ze mną
walczyć, zbierz wszystkie siły, bo będziesz
ich niezawodnie potrzebował!« I w jednéj
chwili uderzyli na siebie, a natarcie było tak
silne, iż iskry sypały się z pod mieczów.
Nieznajomy rycerz od razu poznał, że ma
do czynienia z dzielnym i wyćwiczonym wo-
jownikiem, dla tego też rzekł do Zygfryda:
»Waleczny młodzieńcze, powtarzam ci jeszcze
raz, poddaj się dobrowolnie, bo w walce
wyrównać mi nie możesz; ja jestem uzbro-

jony, a ty nie!« »Na nic się twoja zbroja nie przyda!« — zawołał Zygfryd i uderzył z taką siłą na przeciwnika, że wytrącił mu stalową tarczę z ręki. »Pożałujesz tego młodzieńcze! — krzyknął rycerz — »ja umyślnie dotąd starałem się ochronić cię od śmiertelnego ciosu!« I wymierzył straszny cios prosto na głowę przeciwnika, ale Zygfryd uchylił się odeń zręcznie i sam w tejże chwili pchnął tak silnie dzidą rycerza w szyję, iż ten pochylił się w tył i spadł z konia na ziemię. Wtedy Zygfryd zsiadł z konia i pochylił się nad rycerzem, aby go opatrzyć. Zobaczywszy, iż zadana mu rana jest śmiertelną, żałował bardzo, iż dla niewiadomych przyczyn, pozbawił życia młodego człowieka, rozpiął mu pancerz, aby się cokolwiek orzeźwił i skropił mu twarz zimną wodą. Rycerz otworzył oczy, westchnął głęboko i słabym zapytał głosem: »Powiedz mi dzielny młodzieńcze, kim jesteś, bo po raz pierwszy ale i ostatni w życiu widzę się z tobą!« »W Wormacyi nazywają mię niezwyciężonym Zygfrydem« — odparł zapytany — »ale powiedz mi i ty, co spowodowało cię do walczenia ze mną?« Usłyszawszy imię Zygfryda, rozjaśniła się twarz konającego, podniósł się cokolwiek na ziemi i rzekł: »A więc dzielny rycerzu, ośłodziłeś

mi ostatnią chwilę życia, bo umieram z tém przekonaniem, że ginę z ręki największego bohatera. Ale ponieważ ja już umrę, weź sobie na pamiątkę po mnie mój pancerz i tarczę; będziesz ich niejednokrotnie potrzebował, a mnie się na nic nie zdadzą. W lesie tym mieszka olbrzym »Siłobój« zwany, który mię niegdyś pokonał i swoim więzieniem uczynił. Wyszedłem wtedy właśnie z Sycylii, méj ojczyzny w świat, szukać szczęścia i rycerskich przygód; przechodząc przez ten las wpadłem w moc olbrzyma, który pokonawszy mię, zniewolił, abym pozostał w jego służbie i nie mogę być wcześniej wolnym, dopóki pięciu rycerzy nie pokonam, nie uczynię jego poddanymi. Ale oto z ręki pierwszego, którego spotkałem, ponoszę śmierć, nikomu już więcej drogi nie zastąpię! Chętnie powiedziałbym ci, szlachetny rycerzu, o innych tajemnicach tego lasu, a mianowicie o smoku, który piękną dziewicę trzyma w swéj niewoli, ale czuję, że już ostatki sił mię opuszczają i muszę cię opuścić!« I z tymi słowy na ustach, umarł nieznajomy rycerz, a Zygryda mocno zabiła serce, iż był bezpośrednią choć mimowolną przyczyną jego śmierci. »O biedny, nieszczęśliwy rycerzu«, mówił ze smutkiem, »czemuż cię do życia przywołać nie mogę —

oto od ciebie dowiedziałbym się czegoś więcej o straconej Florygundzie, ale teraz niestety, już za późno!« Z pozostałych po zabitym rycerzu przedmiotów wziął sobie tylko tarczę i hełm z przyłbicą, zbroję pozostawił jednak nietkniętą, bo licząc na powłokę rogową okrywającą jego ciało, czuł się dostatecznie przeciw wszelkim napaściom zabezpieczonym. Potem wsiadł na koń i pojechał dalej w las, spodziewając się odszukać owego smoka, który księżniczkę trzymał u siebie.

Długi czas błąkał się tak po lesie w rozmaitym kierunku, gdy w tém zobaczył zbliżającego się ku niemu na czarnym koniu, karzełka w bogate przyodzianego szaty. Był nim znany ze swych bogactw i sztuk czarnoksiężkich król sąsiedniego kraju. Poznawszy Zygryda pozdrowił go uprzejmie, co rycerz również grzecznie odwzajemnił, wpatrując się w ubranie karzełka, które mogło mieć najmniej 100,000 złotych wartości i w jego drużynę, składającą się z tysiąca dobrze uzbrojonych karzełków. Zygryd zdziwił się nie pomału, usłyszawszy, iż karzełek nazywa go po imieniu, przystąpił tedy bliżej do niego i rzekł: »Jeżeli mię tak dobrze znasz, to zapewne także wiedzieć będziesz jak się nazywają moi rodzice i czy

żyją jeszcze!« Bez najmniejszego wahania się i namysłu, odpowiedział karzeł: »Ojciec twój nazywa się Zyghard i jest królem Niderlandów, matka zaś nazywa się Adelgunda i oboje są jeszcze przy życiu!« Usłyszawszy to Zygfyrd, ucieszył się bardzo — spodziewał się bowiem od wszystkowiedzącego karzełka dowiedzieć się coś i o smoku i ukrytej u niego dziewczicy. I wyjawił przed nim tę myśl swoją. Król Egwald (tak się bowiem nazywał karzełek) przeląkł się tém bardzo i wszelkiemi sposobami wymowy starał się Zygfyda odwrócić od szalonego zamiaru, mówiąc mu, iż smok, u którego znajduje się Florygunda, jest ogromnym przez nikogo niezwyciężonym potworem. »Dobrze, że choć tyle wiem« — rzekł na to Zygfyrd — »na dobro mojej własnej duszy przyrzekam teraz uroczyście, nie spocząć wcześniej, dopóki nie odnajdę owego potwora i nie odbiorę z mocy jego królowny!« »Choćbyś i die się składał przysięg, wszystko nadaremnie, nie wykonasz, co przyrzekasz, ale jeżeli zawczasu się nie cofniesz, zginiesz niechybnie!« »Nie cofnę się nigdy« — zawołał na to Zygfyrd z zapalem — »nie odstrasza mnie przeto od mego zamiaru, ale raczej pomóż mi do urzeczywistnienia go!« Karzełek przestraszył się groźnym głosem i dumną

postawą Zygfryda i już przemyślał, jakimby sposobem uciec — ale rycerz nasz przewi-
dział jego myśli, pochwycił go za ramię i
rzekł, iż go roztrzaska o kamienną ścianę
skały, jeżeli nie będzie powolnym jego woli.
W niebezpieczeństwie tém, karzelek począł
prosić o darowanie mu życia, obiecując na-
tomiasz we wszystkim być Zygfrydowi po-
słusznym. »To jeszcze szczęście twoje« —
rzekł Zygfryd — »na sam początek więc
powiedz mi, jak mam rozpocząć zamierzone
dzieło?« »W lesie tym« — odparł Egwald
— »mieszka olbrzym »Siłobój« zwany; do
niego należy cała ta okolica, przyboczną
straż jego stanowi 1000 dzielnych mężów
i w jego to posiadaniu znajduje się klucz
od »smoczéj skały.« Ucieszył się niezmiernie
Zygfryd tą ciekawą wiadomością i rzekł:
»Wskaż mi więc natychmiast drogę, abym
mógł nieszczęśliwéj dziewczicy na pomoc po-
spieszyć — inaczej z méj ręki zginiesz w téj
chwili!« I przestraszony karzelek wskazał
mu drogę wiodącą do kamiennéj ściany, po
za którą mieszkał ów olbrzym.

Zygfryd stanął przy drzwiach i zapukał
tak silnie, że przestraszony i rozgniewany
zarazem olbrzym wyskoczył natychmiast
z wnętrza, z wielką żelazną sztabą w ręku.
Zobaczywszy Zygfryda, zmierzył go groźnym

wzrokiem i krzyknął: „Jakim sposobem dostałeś się tu nędzny człowieku, wiedz że ztąd już żywym nie wyjdiesz!“ Ale rycerz nie przestraszył się wcale, dumnie spojrzał olbrzymowi w oczy i rzekł: „Przyszedłem umyślnie do ciebie, aby uwolnić piękną Florygundę, którą już cztery lata więzisz na smoczej skale.“ Olbrzym rozgniewał się niezmiernie tą śmiałą mową Zygfryda i wymierzył ku niemu żelazną sztabą tak silny cios, że aż powietrze zadrgało a sztaba głęboko wryła się w ziemię, zręczny bowiem rycerz na stronę uskoczył. To rozgniewało olbrzymia jeszcze bardziej, począł tedy jeszcze z większą siłą na Zygfryda nacierać, ale ten umiał zręcznie od każdego uchylić się ciosu i szybko własny miecz wydobył z pochwy. I znowu rzucił olbrzym żelazną sztabę na przeciwnika z ogromną siłą, ale również bezskutecznie, sztaba tylko ugrzęzła w ziemi. Ale przy ruchu tym potknął się niebacznie i upadł; z czego nie omieszkął Zygfryd skorzystać. Przyskoczył z wydobytym mieczem do upadającego olbrzymia i zadał mu tak ciężką ranę, że krew płynęła strumieniem. Olbrzym nie spodziewał się tego; podniósł się więc szybko z ziemi i pobiegł ukryć się za kamienną ścianę, aby tam zarazem swoją ranę opatrzyć. Zygfryd czekał, aż się olbrzym

znowu pokaże, ale gdy to długo nie następowało, począł znowu gwałtownie pukać do bramy, z po za której ozwał się grzmiący głos olbrzyma: »Nie spiesz się nędzniku tak bardzo — jeszcze na czas zginiesz z méj ręki!« Tymczasem szybko zbroił się do walki; przywdział mianowicie złotą zbroję, posmarowaną z wierzchu krwią smoczą a głowę nakrył połyskującym, szczelnie zamkniętym hełmem. W lewej ręce trzymał stalową tarcz grubą na jedną stopę a w prawej inną żelazną sztabę, ostrą z obu stron, jak brzytwa. W takiej obronnej postawie wyskoczył z za bramy i stanął do walki z Zygfydem, wołając: »Pójdź tu nikczemny prochu, a zgniotę cię na miazgę! Oto chciałeś mnie w własnym domu zamordować — przyplacisz więc czyn ten krwią własną!« »Kłamcą jesteś« — zawołał Zygfyd — »nie przyszedłem cię zamordować, ale walczyć z tobą w pojedynku, jak na szlachetnego rycerza przystało!« »Co!« — krzyknął olbrzym — »jeszcze chwalić się będziesz? Dobrze byłoby dla ciebie, gdybyś przynajmniej o sto mil odemnie był oddalonym, bo marną musisz zginąć śmiercią; powieszę cię na pierwszym, lepszym drzewie!« »Nie wiadomo jeszcze kto zwycięży« — odparł Zygfyd — »ale zanim rozstaniesz się z życiem,

powtarzam ci jeszcze raz, pomóż mi do uwolnienia dziewicy, po którą przybyłem, a nie pożałujesz tego!« »Co, ja ci mam pomódz do uwolnienia dziewicy? O, to się nie stanie nigdy. Raczej postaram się wybić ci z głowy wszystkie o niej myśli!« »Po raz ostatni« — rzekł nakoniec poważnym głosem Zygfryd — »proszę cię o spełnienie mojego życzenia, bo inaczej może być źle!« Ale olbrzym zamiast odpowiedzi podniósł żelazną sztabę w górę i zamierzył się na Zygfryda; ten dobył znów swego miecza i w jednej chwili obaj z niezwykłą zaciętością uderzyli na siebie. Miecz Zygfryda uderzał po twardej zbroi olbrzyma, jak po kowadle, bez najmniejszej jednak dla niego szkody. Ale jedno dobrze wymierzone cięcie byłoby go niechybnie pozbawiło życia, gdyby się nie był zręcznie na bok usunął. Jednak i tym razem usuwając się, potknął się o kamień i pochylił połowę ciała naprzód; Zygfryd przyskoczył więc w téj chwili i zadał olbrzymowi prawie śmiertelną ranę w bok, tak, iż ten upadłszy na ziemię, prosił o darowanie mu życia. »Waleczny rycerzu« — mówił — »godzien jesteś być potężnym królem. Naprzeciw mnie jesteś prawie dzieckiem a przecie pokonałeś mnie! Dla tego proszę cię, nie odbieraj mi życia, bo ono ci się może jeszcze na co przydać.

Oto ja pragnę być każdemu twemu skinieniu posłuszny i czynić wszystko, czego zażadasz!« »Daruję ci życie« — odparł na to Zygryd — »ale tylko pod tym jednym warunkiem, t. j. gdy mi pomożesz do uwolnienia biednej Florygundy!« »Przysięgam ci to na moje życie!« — rzekł olbrzym. »A więc i ja ci przysięgam, że nie będę godził na twoje życie; nawet całkiem byłoby się obeszło bez walki i byłbyś sobie zaoszczędził tych kilka ran, które odemnie otrzymałeś, a siłą, którąśmy zmarnotrawili, moglibyśmy dziewicę odzyskać. Pójdź więc, zawiążę ci rany, a ty tymczasem wskażesz mi drogę wiodącą do »smoczój skały.« »Zaraz dowiesz się o niej« — rzekł olbrzym, wskazując ręką na uroczą dolinę, środkiem której płynął górski strumień z ogromnym łoskotem i szumem. Udali się więc razem w tym kierunku. Zygryd nie przeczuwając nic złego, szedł naprzód, by jak najprędzej do Florygundy się dostać, olbrzym zaś postępował za nim. »Nadeszła więc pora« — myślał sobie — »w której czeka cię kara bezczelny śmiałku za naruszanie mi pokoju« i z tyłu niepostrzeżenie uderzył Zygryda żelazną sztabą tak silnie, iż ten upadł na ziemię a krew płynęła mu z ust i nosa obficie. Takiój zdrady nie spodziewał się

nasz niezwyciężony rycerz, nie był więc zupełnie na cios ten przygotowany i choć leżąc na ziemi, o ile jeszcze nie utracił przytomności, zasłonił się tarczą, byłby niechybnie zginął z ręki olbrzyma, gdyby w sam czas nie nadbiegł mu z pomocą król Egwald. Dobry ten, a czarodziejskimi mocami władający karzełek widząc Zygfrieda w takim nieszczęściu, wdział mu na głowę czapkę z mgły, skutkiem czego uczynił go niewidzialnym. Olbrzym ze sztabą żelazną w rękę miotał się na wszystkie strony i nie mógł pojąć, gdzie się podział jego przeciwnik. »Czy cię лихо wyrwało z mojej mocy« — zawołał gniewnie — »dopiero leżałeś tu przedemną na ziemi, a teraz nie ma z ciebie ani śladu!« Karzełek aż śmiał się z tego. Zygfried nareszcie przyszedłszy do siebie, dziękował Egwaldowi z całego serca, mówiąc: »Niech ci Bóg wynagrodzi to, co dla mnie uczyniłeś; uratowałeś mi życie, a prawdziwie nie zasłużyłem z twój strony na to.« »Bogu podziękuj za swe ocalenie« — rzekł na to karzeł — »bo w Jego mocy jest wszystko. Ale teraz proszę cię usilnie, odstęp od swego szalonego zamiaru, bo czekają cię jeszcze większe niebezpieczeństwa. Pod władzą téj czapki możesz ztąd ujść cało i szczęśliwie.« »Tego nie uczynię nigdy« —

zawołał Zygfryd z zapalem — »wcale nie
rażę się przeciwnościami. I nawet gdybym
miał nie jeden ale tysiąc żywotów, nie wa-
chałbym się ani chwili złożyć je w ofierze
tęj sprawie!« I z tymi słowy zerwał czapkę
ze mgły z głowy, ujął miecz w obydwie
ręce i uderzył z taką siłą na olbrzyma, iż
pokaleczył go ciężko. Wtedy zaczął olbrzym
znowu wołać błagalnym głosem: »I cóż ci
przyjdzie mały człowieczku z méj śmierci?
Daruj mi życie, bo wszakże, gdy mnie za-
bijesz, nikt inny nie może ci wskazać drogi
do uwieżnionej dziewicy!« Zygfryd poznał,
że olbrzym mówił prawdę — spuścił więc
miecz i rzekł doń: »Daruję ci więc i tym
razem życie! Gotuj się do drogi niewierny
towarzyszu i idź naprzód przedemną, ale
strzeż się mego miecza, gdybyś miał mnie
zamiar oszukać, to gutów on wtedy zazna-
jomić się z wnętrzem twego serca!« Ol-
brzym nie miał powodu wątpić, że rycerz
nie żartuje, nie wahał się więc długo, ale
nie chcąc się narażać dobrowolnie na nie-
bezpieczeństwo, wziął klucz do ręki i poszedł
przodem przed Zygfrydem, aż doszli do o-
gromnych żelaznych drzwi, zagłębionych na
ośm sążni pod ziemią. Olbrzym otworzył
je, Zygfryd zaś klucz schował do kieszeni
i kazał znowu iść olbrzymowi przed sobą,

jeżeli mu życie miłe. Uszli tak dobrą pewnością godzinę przez długi ciemny kurytarz; czuli się obydwa zmęczeni, szczególnie olbrzym z powodu ran śmiertelnych, chciał przeto kilka razy spocząć, ale Zygfryd nalegał ciągle by szedł dalej. Doszli nareszcie na wolne miejsce i jakaż była radość Zygfryda, gdy zobaczył tu siedzącą dawno szukaną piękną Florygundę. I dziewczica nie mniej uczuła się wzruszoną zobaczywszy znajomego jęj z dworu ojca rycerza, pozdrowiła go tedy uprzejmie i pytała się, co zaszło od jęj nieobecności w domu rodziców. Zygfryd pocieszył ją mówiąc, iż przed czterema dopiero dniami widział jęj ojca i matkę i braci w najzupełniejszym zdrowiu i przybył po to jedynie, aby ją z mocy smoka uwolnić i do domu doprowadzić. »Ach, zacny rycerzu« — rzekła Florygunda — »boję się o wasze życie. Bez walki bowiem ze smokiem nie obejdzie się, a jeszcze nie ma takiego człowieka, któryby go pokonał!« »Choćby nawet był samym djabłem« — odpowiedział Zygfryd — »to i wtedy nie odstąpię od mego postanowienia, ufny w pomoc Bozką, który mnie dotąd wspierał w przeciwnościach. Muszę cię królewno z mocy smoka wybawić, choćby mnie to życie kosztować miało. Dla tego nie trwóż mnie daremnie, ale raczej

wespół ze mną błagaj Boga, by mnie w stanowczej chwili nie opuszczał!« Dziewica upadła tedy na kolana i gorąco prosiła Boga, aby dzielnemu bohaterowi udzielił siły do pokonania potwora i wybawienia jęj z jego mocy. Potęm ze łzami w oczach zwróciła się ku Zygfyrdowi i ze wzruszeniem dziękowała mu, że na takie trudy gotów jest narazić się dla nięj — i przyrzekała obdarować go swą dozgonną miłością, gdy jęj wolność przywróci. Rycerz uspokoił ją mówiąc, iż wszystko jest w mocy Boga, któremu zaufał i który go wspierał dotychczas. Potęm zażądał od Siłoboja, aby wskazał mu miejsce pobytu smoka, z którym chciał natychmiast rozpocząć walkę. »Wpierw jednak« — rzekł olbrzym — ,idź tam do tęg rozpadliny w skale a znajdziesz miecz, z którym jedynie możesz smoka pokonać!« Zygfyrd pobiegł natychmiast uczynić zadość życzeniu olbrzyma, ale za ledwie pochylił się nad rozpadliną, zdradliwy Siłobój wymierzył mu znowu z boku tak silne cięcie, że aż zachwiał się na nogach. Zygfyrd tknięty do żywego tęg powtórnem wiarołomstwem olbrzyma, odwinął się zręcznie, wyciągnął miecz z pochwy i uderzył z taką gwałtownością na przeciwnika, że aż iskry posypały się z pod miecza. Dziewica zoba-

h

czywszy rycerza w takim niebezpieczeństwie, wzniosła znowu ręce ku niebu, prosząc Boga o zwycięztwo nad olbrzymem. Do Zygryda zaś zawołała: »Walcz dzielny rycerzu przez pamięć na wszystkie trudy, które już dla mnie poniosłeś, a sprawiedliwy Bóg wesprze twe ramię!« Zachęcenie to i modlitwa dziewicy wzmocniły jeszcze siły Zygryda i z podniesionym w górę mieczem natarł daleko mocniej niż poprzednio na przeciwnika. Przeciał mu szarfę obwieszającą jego rany i nowych pozadawał mu tyle, że krew lała się strumieniem. Siłobój wycieńczony upadł na ziemię i znowu pokornymi słowy prosił o darowanie mu życia. Ale tym razem Zygryd nie był tak łatwowiernym i nie dał się uwieść dwa razy łamiącemu wiarę olbrzymowi, zresztą teraz, dostawszy się na smoczą skałę, nie potrzebował go na nic. Nie namyślając się więc długo, strącił go ze skały w przepaść, w której roztrzaskał się na drobne kawałki. Florygunda ucieszyła się niezmiernie tém zwycięstwem i dziękowała w duchu Bogu, iż tak dzielnego rycerza zesłał jęj na pomoc. Teraz zbliżył się Zygryd do dziewicy, a objąwszy jęj kibić w pól, przycisnął miłośnie do siebie i rzekł: »Nie lękaj się, kochana Florygundo, w krótcie zupełną odzyskasz wolność!« Dziewica serdecznymi

słowy dziękowała rycerzowi za wszystko, co dla niej uczynił — ale zwróciła mu uwagę, że jeszcze najcięższe jest do przewyciężenia, a mianowicie pokonać trzeba smoka, który silniejszy niezawodnie stawia mu opór, niż olbrzym. »O to już mniejsza« — odpowiedział Zygfryd — »daleko przykrzejszem jest dla mnie to, że od czterech dni nic nie jadłem, nie piłem i nie spocząłem ani chwili; siły więc moje do nowej walki wyczerpały się zupełnie!« Usłyszawszy to król Egwald rozkazał natychmiast usłużnym swym dworzanom przynieść najwyszukańszych potraw i zaopatrzyć nimi Zygfryda i Florygundę na czas długi.

Ale zaledwie zmęczony rycerz usiadł obok narzeczonej swój do zastawionego stołu, gdy z ogromnym szumem i hukiem przyleciał powietrzem po nad górami straszny smok z dziewięcioma młodymi. Od ich lotu aż zadrżała skała, zaćmiło się powietrze i wszystko naokół ogłuchło. Dziewica przełękała się nie tyle o siebie, ile o swego kochanka i trwożnie przytuliła się do jego ramienia, ale Zygfryd zawołał: »Nie bój się, moja droga — Bóg nas nie opuści i wszystko złe na dobre zamieni!« »Choćby nawet cały świat był z tobą — i tak nie pokonasz smoka« — rzekła Florygunda. »Ale ze mną

jest Bóg! — odrzekł Zygfryd — „a w Jego mocy jest wszystko i bez Jego woli ani włos z głowy mi nie spadnie!“ Tymczasem smok nadleciał już na samo miejsce, a z paszczy zionął takim niezmiernym ogniem, iż zrobiło się tak gorąco, jakby cała okolica spłonąć miała. Zygfryd z Florygundą cofnął się więc do wnętrza jaskini, czekając, aż niesłychany żar cokolwiek się zmniejszy.

Smok zobaczywszy obcego człowieka przy swój więzionej dziewczycy, uniósł się ogromnym gniewem, i uderzył z taką siłą o skałę ogonem, że aż się zatrzęsała. Nie było więc co zwlekać. Zygfryd uzbroił się przeto na prędko o ile mógł najlepiej, wziął miecz do ręki i gotów do walki z potworem, wyskoczył z jaskini. Smok przyskoczył też bliżej ku niemu i otworzył paszczę tak szeroko, jak gdyby rycerza chciał połknąć całego żywcem. Ale Zygfryd opierał się dzielnie, choć wprawdzie przeszkodzić nie mógł temu, że smok ostrymi pazurami wyrwał mu tarczę z ręki. A nadto zionął ustawicznie ogniem, tak iż powietrze było prawie rozpalone, a Zygfryd potem oblany był cały. Huk walki był tak ogromny, że wszyscy karzełkowie przestraszeni uciekli do lasu, obawiając się, aby skała się nie zapadła i nie przygmiotła ich swym ciężarem. Po-

między nimi znajdowało się także dwóch braci króla Egwalda, którzy skarb odziedziczony po ojcu tu ukrywali. Przed ucieczką więc schowali go w wydrążenie skały nie-daleko kamiennéj ściany pod bramą. Egwald sam też nic nie wiedział o tém, schował się bowiem do rozpadliny górskiej, aby ztąd patrzeć, jaki koniec weźmie straszna walka — i aby w razie potrzeby Zygfyrdowi z swą czarnoksiężką pospieszyć pomocą. Byłoby bowiem tak dla niego, jak i dla całego jego narodu wielkiem nieszczęściem, gdyby smok wyszedł z walki zwycięzcą; wiedział bowiem, że karzelki wiedzą o jego skarbie, starałby się przeto ich pozbyć. Zygfyrd nie mogąc w końcu ogromnego gorąca wytrzymać, zwłaszcza, że rogowa powłoka na nim topić się i miękczyć poczęła, uciekł napowrót do wydrążenia skały, kędy siedziała Florygunda i odpoczął tu chwilę, dopóki skóra nie stwardniała znowu. Tu właśnie niepostrzeżenie znalazł skarb braci Egwalda; nie przypuszczał jednak nawet, że ich jest własnością, owszem niemal przekonany był, że to jest skarb olbrzyma, albo co najprawdopodobniejsze smoka, który, spodziewając się w krótkce ludzką przybrać postać, umiał by z niego skorzystać. Florygunda płacząc rzuciła się na szyję Zygfyrdowi, mówiąc, iż może widzi

go po raz ostatni, bo smok przywiódł z sobą 9 młodych, trudno więc będzie wszystkie pokonać, ale nieustraszony rycerz rzekł: »Co rozpoczęte, to skończyć się musi — gorąca chęć i odwaga jest połową zwycięstwa, a jak powiada przysłowie: często, gdzie potrzeba i nieszczęście największe, tam pomoc Boga najbliższa!« Przy tych słowach rzucił się znowu na kolana i wznosił gorące modły do nieba o udzielenie mu mocy i odwagi. I jakby nową natchnięty duszą, podniósł się potem ochoczo i wyskoczył z jamy, aby walkę na nowo rozpocząć. Natarcie było daleko straszniejsze, niż za pierwszym razem; Zygfyrd błyskawiczne w powietrzu mieczem nakreślał znaki i ciął nim z taką siłą na wszystkie strony, że wszystkie młode smoki porozpędzał. Stary jednak bronił się ciągle wszelkimi siłami a z paszczy jego szły ogromne płomienie wprost na Zygfyda, iż odurzony ich wyziewami, omal że kilka razy nie stracił przytomności i nie spadł ze skały w przepaść. Ale szczęście dotąd służyło mu jakoś. Nagłym zwrotem ciała znalazł się tuż obok potwora i silném, dobrze wymierzonym cięciem odciął mu ogon od ciała tak gładko, jak gdyby tam nigdy nie istniał. Z boleści i wściekłości miotał się teraz smok jak szalony i jeszcze większe słupy ognia

wypuszczał z paszczy, że cała okolica zdawała się stać w płomieniach. Ale dzielny Zygfryd, ufny w swą siłę i pomoc Bozką, prawdziwie wierny swemu nazwisku, był niezwyciężonym. Mieczem swym ciął z niesłychaną siłą na wszystkie strony i kilka razy już zranił bardzo ogromnego smoka, aż wreszcie jedno cięcie tak mu się udało, iż za jednym zamachem odciął potworowi głowę, który też niebawem w konwulsyjnych dreszczach żyć przestał. Jedna połowa przeciętego cielska potwora spadła sama w zamęcie walki, drugą Zygfryd stoczył do przepaści, nie chcąc, aby cośkolwiek jeszcze świadczyło o jego istnieniu.

Piękna Florygunda ukryta w jaskini z niemąłą trwogą przysłuchiwała się walce, którą słyszeć było z daleka. Wreszcie usłyszała ogromny huk (a było to właśnie zrzućcie cielska potwora); poczem zapanowała cisza. Poznała więc z tego, że walka musiała się już zakończyć i drżąc na całym ciele z obawy i niepewności, wyszła z jaskini, aby się przekonać, kto wyszedł zwycięzcą. Przyszedłszy na miejsce walki nie zobaczyła całkiem smoka, tylko formalne jezioro krwi świadczyło, że bój w tém miejscu się odbył. Pełna radości oglądała się naokół — i zobaczyła swego rycerza, leżącego na ziemi,

poranionego, z posiniałymi od niezmiernego gorąca wargami i nie dającego najmniejszego znaku życia. Z wielkiej boleści ścisnęło się serce biednej dziewczicy, bo cóż pomogła jej śmierć smoka, gdy z nią zarazem obrońca jej utracił życie; wszakże młode smoczęta powrócą tu jeszcze i chcąc pomścić śmierć starego smoka, rozszarpią nawet jego martwe ciało. I ogarnął ją wielki smutek i padła bez przytomności na ziemię. Po jakimś czasie zemdlonemu tylko Zygfydowi poczęły powracać władze duszy i ciała, przyszedł cokolwiek do siebie, otworzył oczy i podniósł się z ziemi. W tém zobaczył nieopodal od siebie leżącą na ziemi królownę. Przestraszony przybiegł do niej, ujął ją za obydwie ręce i wstrząsał nią gwałtownie, ale wszelkie środki nic nie pomagały — dziewczicy nie powracało życie. »Ach, dla Boga« — zawołał z rozpaczą — »a więc wszystkie moje trudy, wszystkie pokonane niebezpieczeństwa żadnym pomyślnym nie zostaną uwieńczone skutkiem? Więc zamiast wesołego poselstwa mam królestwu przynieść z wyprawy trupa ich córki? O, ja nieszczęśliwy, bodajbym był raczej tu wcale nie przybywał, niż narażać się na takie niebezpieczeństwa dla niczego!« Gdy tak skarży się i narzeka nasz bohater, zjawił się nagle król Egwald i da-

jąc mu małą flaszeczkę, rzekł, by płyn w niej zawarty wlał do ust zemdlonej dziewczicy. Zygfryd uczynił, co mu polecił karzeł i Florygunda natychmiast otworzyła oczy, podniosła się z ziemi i z okrzykiem radości rzuciła się swemu kochankowi na szyję. Król Egwald rzekł zaś do Zygfryda: »Straszny olbrzym Silobój był dotąd naszym wszechwładnym panem — podbił bowiem nasz kraj i kazał nam haracz opłacać. Ty rycerzu bohaterskim swym czynem uwolniłeś nas z jego mocy, zabiłeś również niebezpiecznego nam smoka — dla tego jesteśmy ci winni wieczną wdzięczność i chcemy ci być posłusznymi i uległymi we wszystkim!« Zygfryd ucieszył się tém bardzo i dziękował pocziwemu karłowi za ofiarowane mu usługi — prosił go jednak, aby mu przedewszystkiem przyniósł cokolwiek jadła i napoju, bo czuje się bardzo znużonym. Król Egwald pobiegł coprędzej z kilkunastu karzełkami i przyniósł co najpotrzebniejsze w takiej ilości, iż cały stół obficie rozmaitemi potrawami i napojami zastawiono. Nawet pięknej muzyki z woli karzełka nie brakowało przy téj uczcie. Cały naród króla Egwalda cieszył się bardzo zwycięstwem Zygfryda — wszyscy jego dworzanie pili zdrowie bohatera dnia, tańczyli i śpiewali wesoło. Ale Zygfryd czuł się bardzo zmę-

czonym, od czasu bowiem wyjazdu swego z Wormacyi nie odpoczął jeszcze ani chwili. Prosił przeto Egwalda, aby przygotował gdzie odpowiednie miejsce do spoczynku dla niego i pięknej Florygundy. I to życzenie jego spełnił natychmiast usłużny karzeł. Tymczasem Zygfryd usiadł przy swojej narzeczonej, ujął ją czule za rękę i zapytał: »Powiedz mi, piękna księżniczko, jak mogłaś tak długi czas przy tym szkaradnym potworze wytrzymać?« »Wyobrazisz sobie niezawodnie szlachetny rycerzu« — odpowiedziała na to Florygunda — »jak smutne i pełne cierpień prowadziłam tu życie! Oj, ciężko doprawdy, było wytrzymać, ale powiedzcie wy mi, szlachetny rycerzu, co was zniewoliło do niesienia mi pomocy z narażeniem własnego życia.« »Samo współczucie i żal nad twoim losem« — odparł Zygfryd — »było dostatecznym powodem, abym zapragnął cię uwolnić!« Usłyszawszy to Florygunda, rozplakała się z wielkiego wzruszenia, a zdjawszy kosztowny pierścień z dyamentem z palca, dała go rycerzowi na znak wdzięczności; on zaś, pragnąc się odwzajemnić, zawiesił na jej szyi złoty łańcuch, który otrzymał jako pierwszą nagrodę na turniejach i tym sposobem związek miłości między dwojgiem dusz został zawarty.

Tymczasem słońce skłoniło się ku zachodowi, zaszło wreszcie za góry, a srebrny księżyc blaskiem swym oblał całą okolicę. Dla Zygfryda przygotował Egwald łożko, pysznie urządzone, przykryte atlasową niebieską kołdrą, na której srebrne były wyszyte gwiazdy. »Dotąd, od czasu wyjścia z Wormacyi« — rzekł Zygfryd kładąc się spać — »spałem pod gwiazdami naturalnego nieba; ciekawym, jak też mi spać się będzie dzisiaj pod tym sztucznie utkanym firamentem!« Po drugiej stronie znajdowało się również kosztownie urządzone pośłanie dla Florygundy. Obydwoje więc, rycerz i dziewczyna, odmówiwszy wieczorne modlitwy i polecivszy się opiece Bożkiej, udali się na spoczynek. Nazajutrz, zaledwie pierwsze promienie słońca wdarły się na dolinę, obudziła się Florygunda, ubrała i pospieszyła coprędzej do łożka Zygfryda, obawiała się bowiem o jego zdrowie, z powodu tylu trudów i niebezpieczeństw, które przenieść musiał. Ale bohater nasz spał snem spokojnym, pierś jego podnosiła się miarowo; usiadła więc obok niego i poczęła śpiewać piękną piosnkę poranną. Miłe tony cicho brzmiące w powietrzu obudziły rycerza — zawstydził się, że spał w obec narzeczonej swój tak długo i prosił ją o pozwolenie mu chwilki czasu

do ubrania się. Florygunda oddaliła się więc a za niewielką chwilę stanął przed nią już zupełnie ubrany Zygfryd. Zaraz pozdrowiwszy ją uprzejmie, zapytał się jęj, czy gotowa jest zaraz udać się z nim w drogę do rodziców. Królowna zgodziła się chętnie na tę propozycyą, gdy w tém stanął przed nimi król Egwald i prosił ich bardzo usilnie, aby jeszcze kilka dni u niego zabawić chcieli. Ale Zygfryd nie chciał tracić ani jednej chwili czasu, wiedział bowiem, jak bardzo i jak długo stroskani rodzice za swą jedyną córką tęsknili. Egwald przynajmniej więc ucztą wspaniałą chciał uczcić opuszczającą go parę narzeczonych, nagromadził więc znowu jak najpyszniejsze potrawy i napoje. Posiliwszy się Zygfryd i Florygunda, przygotowali wszystko, co najpotrzebniejsze do podróży i poczęli się żegnać z pocziwym królem Egwaldem i jego braćmi. »Dzielny rycerzu« — rzekł Egwald — »dozgonną jesteśmy ci winni wdzięczność za uwolnienie kraju naszego z pod mocy olbrzyma — dla tego przyjmij nasze towarzystwo; odprowadzimy cię z całą drużyną do Wormacyi, bo droga prowadzi przez wielki i gęsty las i łatwo się w nim zabłąkać!« Zygfryd podziękował uprzejmie za ofiarowane mu usługi i przyjął tylko towarzystwo samego Egwalda.

Karzeł też wsiadł na swego czarnego konia i pokłusował przed parą narzeczonych, aby jój wskazywać drogę.

Wśród drógi rzekł Zygfryd do Egwalda: »Słyszałem, że znasz się na sztuce wrózenia z gwiazd; proszę cię więc, chciój mi powiedzieć, co czeka mnie w przyszłości!« »Jak najchętniej uczynię zadość twemu żądaniu« — odparł karzeł — »ale zdaje mi się, że nie bardzo będziesz zadowolonym z tego, co ci powiem!« »Wszystko chcę wiedzieć, co mnie czeka« — odparł Zygfryd — »choćby co najgorszego, proszę cię nie taj nic przedemną!« »Dobrze więc« — rzekł Egwald — »wiedz więc najpierw, że piękna Florygunda, która ci obecnie w podróży towarzyszy, zostanie twoją żoną. Ale już po ośmiu latach w podstępny sposób zginiesz z ręki skrytobójcy; żona twoja pomści twą śmierć w sposób godny z jój powołaniem!« »Niech się dzieje zawsze wola Pana Boga« — rzekł Zygfryd — »jeżeli śmierć moja ma być pomszczoną, to już wszystko dobrze — nie chcę nawet wiedzieć, kto będzie moim zabójcą!« Na tém skończyła się rozmowa między nimi a nie słyszała jój wcale Florygunda, albowiem mały kawałek drógi wyjechała naprzód. Dopędzono ją w krótkce i znowu całe towarzystwo połączyło się. Ale Zygfryd nie mógł zcierpieć,

aby ktoś więcej niż on był tak blisko Florygundy, pierwszą lepszą więc wymówką pozbył się towarzystwa karła, mówiąc, iż dalszą drogę zna sam zupełnie dobrze. Poczciwy Egwald odchodząc, miał łzy wzruszenia w oczach.

Jadąc dalej sam na sam ze swoją kochanką, przypomniawszy sobie Zygfryda o skarbie, który spostrzegł przypadkowo podczas walki ze smokiem, a który, jak się spodziewał, był własnością olbrzyma. „Wróćmy się po niego” — rzekł więc do Florygundy — „skarbę smoczą zdobyłem z narażeniem własnego życia, skarb ten więc nie do kogo innego tylko do mnie należy i zostawiać go tam nie ma potrzeby!”. Florygunda pochwaliła to postanowienie — wrócili się więc i po krótkim czasie jechali już napowrót tą samą drogą z obładowanym koniem zabranym skarbem. Niebawem dojechali do miejsca, gdzie Zygfryd przed kilku dniami zabił w pojedynku walecznego rycerza; koń jego paść się do tego czasu na łące. Bohater nasz skorzystał więc z tego, bo schwytanego konia obładował skarbem, wziął go w środek, między siebie a Florygundę i tak ruszyli w dalszą drogę.

Rozmawiając wesoło, nie zauważyli nawet, kiedy zboczyli z drogi i znaleźli się wśród największej gęstwiny leśnej. I tego

byliby również nie spostrzegli, gdyby nagle z po za drzew nie wyskoczyła banda zbójców i nie otoczyła ich w około. Florygunda zbladła ze strachu, wołając: »O Boże! jakżeż wyjdziemy z téj zasadzki!« Ale Zygfryd i tym razem nie stracił odwagi i słowami pewności siebie pocieszył swą kochankę. Z uśmiechem na ustach patrzył jak sześciu najlepiej uzbrojonych zbójców coraz bardziej ścieśniali około nich swe koło. »W ostateczności damy im nasz skarb« — myślał sobie — »i tym sposobem przynajmniej sami wyjdziemy cało. Na skarbie mi bowiem wcale nie zależy, ale tego wstydu bym nie przeniósł za żadne skarby świata, abym uciekł lub bać się miał takich podłych rabusiów!« Tymczasem drugie sześciu zbójców otoczyło znowu Florygundę a inni ujęli za uzdę konia, obładowanego złotem i chcieli się z nim oddalić.

Dotąd Zygfryd nie przypuszczał nawet, aby zwyczajni leśni rabusie ośmielili się napadać na rycerza, ale gdy obecnie przekonał się naocznie o téj zuchwałości, zawołał gniewnym głosem: »Czego żądacie łotry?« »Jakim prawem śmiesz nas tak nazywać?« — zawołał jeden ze zbójców i uderzył na Zygfryda. Tego już było za wiele dla naszego rycerza. Rozgniewany podniósł

miecz, którym wczoraj porąbał był smoka i sprawił się tak zręcznie, że jednym zamachem odciął napastnikowi głowę. Drugiem cięciem przeciął drugiemu zbójcy głowę aż po zęby, co zobaczywszy inni natychmiast pierzchnęli, nie chcąc bliższej zabierać znajomości z wypróbowanym mieczem Zygfyryda. Zbójcy, którzy tymczasem otoczyli Florygundę, zobaczywszy w takiem niebezpieczeństwie kolegów swoich, pospieszyli im na pomoc — ale niezwyciężony rycerz przyjął ich tak samo, jak i ich towarzyszy; nie upłynęło pięć minut a już trzech z nich spadło trupem z konia na ziemię. Podczas téj walki jednak kilku zbójców pojmawszy obładowanego złotem konia uciekli z nim w las; Zygfyryd znowu pogonił za nimi a dopędziwszy, rozprawił się tak, jak poprzednio. Gdy jednak powrócił na miejsce, w którym uratowaną zostawił Florygundę, nie zastał jęj teraz wcale; kilku zbójców uprowadziło ją z sobą. Nie namyślał się więc długo, ale puściwszy wolno konia ze skarbem, pogonił znowu za zbójcami, kierując się śladem kopyt końskich na trawie. Po pół godziny szybkiej jazdy, dognał ich w największej gęstwinie, uderzył na nich z niesłychaną zaciętością i pomimo rozpaczliwego oporu, wyciął ich co do nogi. Jeden tylko ratował się ucieczką, ale zaledwie

odbiegł kilka kroków, wpadł po szyję w błotniste bagno, w którem śmierć znalazł. Mocującemu się jeszcze ze śmiercią, zawołał Zygfyrd drwiąco: »Jeżeli przechodząc tędy, spyta ci się kto, kto ci taką krzywdę wyrządził, to powiedz mu, że nikt inny, tylko niezwyciężony Zygfyrd, który uwolnił królownę z mocy zaklętego smoka i dwunastu twoich towarzyszy wyprawił najkrótszą drogą na tamten świat!«

Poczém pomógł Florygundzie wsiąść na konia i pojechał w dalszą drogę. »Jakże ci się moja kochana« — pytał jadąc — »podobala ta zabawka?« »Ach dzielny rycerzu« — odrzekła na to dziewczica — »jeżeli spotkanie takie nazywacie zabawką, gdzież jest człowiek, któryby się odważył z tobą walczyć na życie i śmierć?« Przybyli znowu na miejsce po chwili podróży, gdzie po raz pierwszy napadli na nich zbójcy. »Kochany mój rycerzu« — rzekła wtedy Florygunda — »czy już wcale nie odnalazłeś konia ze skarbem, który nam zbójcy porwali?« »O i owszem« — odparł Zygfyrd — »dopędziłem rabusiów, odebrałem im moją własność i dałem im naukę, że już nigdy czegoś podobnego nie uczynią — ale gdy przybyłem znowu na miejsce pierwotnej z nimi bitwy, nie zastałem już ciebie kochana Florygundo! Po-

rzuciłem tedy skarb, a pobiegłem ciebie od-
szukać i odbić, bo miłość twoja jest mi
droższą nad wszystkie skarby świata!« Ze
łzami wzruszenia i wdzięczności rzuciła się
Florygunda rycerzowi na szyję, mówiąc, że
i ona najmniejszej do skarbu nie przywiązy-
wała wagi. »I cóż by mi z największego
nawet bogactwa przyszło?« — myślał sobie
Zygryd w duchu — »gdy mi tylko 8 lat
życia pozostaje!« I jechali spokojnie dalej
i dalej, aż wreszcie przybyli nad Ren.

Wiadomość o uwolnieniu księżniczki
z mocy smoka przez Zygryda biegła szybko
przed nim; wcześniej się też dostała do króla
Gilbalda i jego małżonki. Z rozkazu kró-
lewskiego wyruszył więc wielki i wspaniały
orszak rycerski, aby wracającego zwycięzcę
i bohatera godnie przyjąć. Ale przyjęcie to
było jeszcze niczem w porównaniu z uroczy-
stościami, które w samém mieście i na zamku
królewskim wyprawiono z powodu znalezie-
nia się córki królewskiej.

Rodzice ucieszyli się odzyskaniem Flory-
gundy niezmiernie i nie mogli znaleźć słów
na wyrażenie swój wdzięczności Zygrydowi.
Jako więc przynależną nagrodę za jego bo-
haterskie czyny, oddano mu Florygundę za
żonę i w krótkce odbyło się w stolicy państwa
wesele, o jakim dotąd na całym świecie nie

słyszano. Z najodleglejszych nawet krajów przybywali cesarze, królowie i książęta, przybył również ojciec Zygfryda, Zyghard król Niderlandów. Zgromadziło się również wiele rycerstwa i szlachty krajowej i zagranicznej a wszystkich goszczono i podejmowano prawdziwie po królewsku. Ślub odbył się wśród jak najuroczystszych ceremonii w katedrze, w obecności wszystkich królów i książąt i dostojników państwa.

Uroczystości weselne trwały 14 dni, a urozmaicały je rozmaite zabawy i gonitwy rycerskie. Stara kronika, na podstawie której napisaliśmy tę powiastkę, powiada między innymi co następuje: „Pomiędzy zabawami rycerskimi i krotochwilami, jakie miały miejsce na tém weselu, szczególnież jedno wesołe zdarzenie zasługuje na wspomnienie: W pobliżu pałacu króla Gilbalda mieszkał pewien wieśniak, imieniem Jorkus, który raz zbłąkanemu w lesie królowi, wskazał prawdziwą drogę i za to mianowany został przez niego zarządcą dóbr królewskich. Wieśniak ten był niesłychanym tchórzem, czegokolwiekbaż bał się niezmiernie, a przed gołym mieczem schowałby się, gdyby można, nawet pod ziemię. Podówczas żył także na dworze króla pewien rycerz, wszędzie bywały i przebiegły człowiek, który postanowił téj bojaźni wie-

śniaka na dobre zużytkować i kosztem niéj ubawić wszystkich uczestników wesela. I żart ten rzeczywiście udał mu się wybornie. Udał się on do owego wieśniaka i powiedział mu, że właśnie nadarza się znakomita sposobność przypodobania się królowi i zwrócenia na siebie uwagi wszystkich weselnych gości. »Jest tu« — mówił on — »pomiędzy obcymi książętami jeden, który ma na swym żołdzie żołnierza imieniem Cywilisa. Jest to, musisz wiedzieć, tchórz pierwszego stopnia, jakiego jeszcze świat nie widział; żdźbłem słomy w rękę możnaby śmiało iść z nim do walki. Otóż tego to Cywilisa powinienes wyzwać na pojedynek na śmierć lub życie. Można bowiem łatwo przewidzieć, że samego wyzwania przełęknie się i nie stawi się wcale na oznaczone miejsce — a ty już tém samém okryjesz się chwałą, o jaką próżno starałbyś się w inny sposób przez całe życie. A gdyby, co bardzo wątpię, nawet przyjął wyzwanie, to możesz być pewnym, że zobaczywszy cię uzbrojonym, stchórzy i natychmiast z placu boju ucieknie, a ty tém większe u króla zyskasz znaczenie!« Wieśniak dał się tymi słowy ułować i przyrzekł owego żołnierza wyzwać na pojedynek.

Potém udał się ów rycerz do króla Gilbalda, opowiedział mu o wszystkim i pro-

sił go, aby mu zezwolił żart ten przyprowadzić do skutku, przyrzekając, że staraniem jego będzie, aby żaden z walczących tchórzów najmniejszej nie odniósł szkody. Król udzielił mu swego pozwolenia, chciał bowiem jak najwięcej i jak najoryginalniej urozmaicić gody weselne swjej córki.

Jeszcze brakowało mu do wykonania swego planu pozwolenia króla Zygharda, u którego właśnie służył Cywilis; udał się więc do niego, a opowiedziawszy mu wszystko, uzyskał również pozwolenie — wszyscy ciekawi bowiem byli, jak wypadnie to komiczne przedstawienie.

Wreszcie udał się nasz rycerz osobiście do Cywilisa i po długiej ogródkowej rozmowie, oznajmił mu, że przybywa z polecenia Jorkusa, zarządcy dóbr królewskich, który wyzywa go na pojedynek, na śmierć i życie. Cywilis przeląkł się niezmiernie, że jakiś czas nie mógł ani słowa przemówić — wreszcie rzekł: »Jakimże sposobem wyzywa mnie ten Jorkus? Ja go nie znam wcale i nigdy z nim nic do czynienia nie miałem!« »To nic nie szkodzi« — odparł rycerz — »teraz nie czas dowiadywać się o powody. To tylko miej na względzie, że byłoby dla ciebie hańbą, gdybyś w oznaczonym czasie nie stanął na placu boju!« I nie czekając

na odpowiedź — odszedł. Wielu dworzan i sam król Zyghard dowiedziawszy się, że Cywilis wacha się z przyjęciem wyzwania, nakłaniali go do stanowczego zdecydowania się, tak że w krótkce rozważywszy rzecz dobrze, kazał przywołać sekundanta i rzekł doń: »Powiedz Jorkusowi, że do jutra jeszcze się namyślę!« Słowa te przyniósł rycerz wieśniakowi, który cieszył się bardzo, był bowiem pewny, że Cywilis się nie stawi. Nazajutrz rano znowu dworzanie Zygharda nakłaniać poczęli Cywilisa do przyjęcia pojedynku. »Ależ to byłoby dla ciebie wieczystą hańbą« — mówili — »gdybyś się nie stawiał i nie chciał walczyć z Jorkusem. Toż to ma być tchórz, który przed gołym mieczem ucieknie!« Dręczony ciągle podobnymi mowami, dał się w końcu Cywilis namówić i kazał przez sekundanta oświadczyć Jorkusowi, że o godzinie 1-szej z południa stawi się w zbroi i na koniu, gotów do walki, aby pokazać mu, co to znaczy obcego rycerza bez powodu wyzwąć na pojedynek. I jakkolwiek sam jako wyćwiczony wojownik nie powinien walczyć z prostym chłopem, czyni to jednak tylko dla tego, aby mu dać nauczkę, iżby na przyszły raz nie dopuszczał się takiego zuchwalstwa.

Otrzymali więc obaj przeciwnicy jednaką broń i zbroję i w oznaczonym czasie stanęli

na placu bitwy. Ogromna moc ciekawych otoczyła ich w koło, każdy bowiem chciał być świadkiem oryginalnego widowiska. Jorkus zaledwie wjechał na plac boju, oglądał się na wszystkie strony, czy gdzie nie ma stósownego miejsca, któremby mógł uciec. Ale na nieszczęście zobaczył się zupełnie zamkniętym; plac bowiem z trzech stron otoczony był wysokim parkanem, a z czwartej strony płynął głęboki strumień. Złorzeczył więc teraz samemu sobie i przeklinał w duchu godzinę, w której dał się namówić rycerzowi. Cywilis podobnie zobaczywszy silną postawę Jorkusa i jego pięknego konia, byłby z pewnością pierwszej chwili uciekł, gdyby tylko miał którądy. Już miał chęć z góry poddać się przeciwnikowi, nie przeczuwając, że i on jest téj samej myśli.

Tymczasem sekundanci odmierzyli stanowiska i uderzyli w trąby. Koń, na którym siedział Jorkus (a był to koń Zygryda) przyzwyczajony do ciągłych bitew i pojedynków, posłyszawszy głos trąby, natychmiast rzucił się naprzód, pomimo tego, że nieszczęśliwy jeździec chciał go powstrzymać. Lekki wierzchowiec szybkim biegiem przebiegł jak strzała wytkniętą przestrzeń a Jorkus obawiając się, aby zeń nie spadł na ziemię, upuścił dzidę i obydwoma rękami,

uchwycił się jego grzywy. Rumak Cywilisa nie był tak ognistój krwi — owszem przeciwnie nie chciał ruszyć z miejsca, aż go musiano popędzać batem. Jeździec podniósł w górę włócznię, nie umiając się nią nawet zamierzyć, ale szczęście czy nieszczęście chciało, że sama poruszona zwrotem konia, wypadła mu z ręki i spadając trąciła lekko Jorkusa w ramię, ten przestraszony, że już i tak ledwo trzymał się na siodle, spadł z konia na ziemię, jak długi. Cywilis jednak uważając przedewszystkiem na siebie, nie spostrzegł nawet tego i dojechał aż do końca wytkniętej drogi, dopiero, gdy koń jego się zwrócił, zobaczył przeciwnika leżącego na ziemi. »Teraz więc jest czas« — pomyślał sobie — »zakończyć walkę zwycięzko; koń mój kopytem roztrzaska mu głowę, a ja go dzidą przeszyję!«

Zaledwie jednak zbliżył się ze swym koniem, aby ten zamiar wykonać, wieśniak powstał już ze ziemi, sam zaś trzymając niezgrabnie lancę, zajechał nią koniowi między nogi, tak iż ten potknął się i omal nie upadł. Widząc to Jorkus, nabrał znowu odwagi i myśląc sobie, że właśnie stósowna nadeszła pora, aby pokonać przeciwnika, z niesłychaną gwałtownością natarł na niego. Ale koń Cywilisa ciągle tupał nogami i kręcił głową,

że odważny Jorkus nie mógł blisko do przeciwnika swego dostąpić, a gdy wreszcie począł wierzgać tylnymi nogami i machać ogonem, aż świszcząło w powietrzu, ogarnęła go taka trwoga, że nie namyślając się dłużej, począł uciekać, co mu sił starczyło.

Cywilis miał więc czas umocnić się znowu na siodle, czuł się jednak tak zmęczony i osłabiony, że drżąc od strachu postanowił się poddać nieprzyjacielowi. Wyciągnął więc miecz z pochwy, aby go ująć za ostry koniec i w ten sposób oddać przeciwnikowi na znak poddania — ale zaledwie Jorkus miecz goły zobaczył, dreszcz przeszedł go po całym ciele, już widział się niechybnie zgubionym, dalej więc po raz drugi w nogi. Na niespodziewany ten widok znowu otucha wstąpiła w serce Cywilisa. Licząc na pewne zwycięstwo, począł ścigać Jorkusa, machając mieczem na wszystkie strony, a dopędziwszy go, natarł na niego. Znalazłszy się w takich opałach biedny nasz wieśniak, wzniosł do góry ręce, prosząc przeciwnika o litość, gdyż w przeciwnym razie obiecywał poskarżyć się przed królem Gilbaldem i Zygfrydem. Ale gdy nieustraszony Cywilis nie przestawał wcale wymachiwać mu mieczem pod nosem, znowu dusza Jorkusa przeniosła się do nóg; począł uciekać, a za nim gonił

jego przeciwnik, aż dobiegł tak nad brzeg wody. Dalej gdzie nie było uciekać, zwątpił zatem o swojém życiu. »Gdy dalej się posunę w tył, znajdę śmierć w wodzie« — myślał sobie — »gdy zaś naprzód postąpię, zginę od miecza przeciwnika.« W każdym razie wstydział się poddać swemu wrogowi bez walki, gdyby był bowiem cokolwiek uważał, byłby mógł go łatwo pokonać. Widząc wreszcie, że koniecznie zginąć mu wypadnie, postanowił drogo sprzedać życie i rozpaczliwa odwaga wstąpiła w jego serce. Ujął miecz obydwoma rękami i zamrużywszy oczy, począł ciąć nim w powietrzu przed sobą z taką siłą, że przestraszony Cywilis począł uciekać, wołając: »Ach, daruj mi życie — a ja ci się poddam dobrowolnie!« Wyobrażał sobie, iż życie jego już wisi na włosku, że cały okryty jest śmiertelnymi ranami, aczkolwiek nawet wcale skaleczonym nie był.

Usłyszawszy krzyk Cywilisa, ośmielił się Jorkus otworzyć oczy i zobaczył, że przeciwnik jego już się tak daleko znajduje. Pełen odwagi godnej bohaterów Troi począł więc pędzić za nieprzyjacielem z taką samą szybkością, z jaką poprzednio uciekał. Na dobre przestraszony Cywilis, począł teraz jeszcze przeraźliwiej krzyczeć: »Daruj mi

przyjacielu życie — a będę ci wdzięcznym przez całe życie i nigdy o zemście nie pomyśle!« »Złóż więc broń!« — zawołał Jorkus i Cywilis rzeczywiście odrzucił miecz od siebie.

Jednakowoż dzielny nasz bohater nie ufał jeszcze zupełnie przeciwnikowi, aczkolwiek ten był bezbronnym; rozkazał mu więc, aby zszedł z konia i w przyzwoitém oddaleniu położył się na ziemi. Posłuszny jego woli Cywilis odbiegł jak mógł najdalej, na sam koniec placu bitwy i tu wyciągnął się jak długi na ziemi, oczekując pokornie, jak baranek końca.

Przecież Jorkus jeszcze obawiał się swego przeciwnika, myślał bowiem, że tylko wtedy będzie zupełnie bezpiecznym, gdy go nie pozostawi przy życiu. »Ale jakże dojdę do niego?« — rozumował — »aby mi się nic złego nie stało? Gdy pójdę z mieczem, gotów szybko podnieść się z ziemi i wydrzeć mi go!« Położył więc miecz na ziemi i całkiem bezbronny zbliżył się do leżącego na ziemi nieprzyjaciela, klęknął mu na piersiach i dobył z kieszeni wielki nóż, aby nim zadać zwyciężonemu cios śmiertelny. Ale sędziowie turnieju odgadłszy jego zamiar, rozbili go i obronili śmiertelnym potem zlanego Cywilisa, mówiąc, iż zabójstwo do-

konane na bezbronny przeciwniku, zwłaszcza gdy ten prosi o pardon, nie zgadza się zupełnie z warunkami pojedynku. Chociaż niechętnie, ale zmuszony przez sędziów Jorkus nie wykonał swojego zamiaru, nie odszedł jednak wcześniej, dopóki nie upewniono go, że Cywilis nic mu już złego zrobić nie może i że wychodzi z boju zwycięzcą. Zwrócił się więc wtedy pełen dumy do pokonanego, mówiąc mu, aby to zdarzenie było nauką dla niego na całe życie, aby wprzód się przekonał, z kim ma do czynienia, zanim bój rozpocznie. Tak więc skończył się ten wesoły pojedynek między dwoma tchórzami, z których każdy był zadowolony, że wyszedł zeń cało.* Kilka jeszcze innych komicznych żartów wprowadzono ku rozweseleniu gości, ale o nich nie wspomina już kronika.

Po skończonych wreszcie godach weselnych, goście rozjechali się, każdy w swą stronę, a każdemu dał Zygfryd liczne towarzystwo rycerskie dla większego w drodze bezpieczeństwa.

Choć tak wszystko dotąd uśmiechało się Zygfrydowi, miał on jednak i nieprzyjaciół i to w gronie bliskich krewnych. A mianowicie szwagrowie jego Erenbert, Hagenwald i Walter znienawidzili go bardzo z powodu odznaczeń i nagród, które na wszystkich

turniejach otrzymywał, podczas gdy na nich nie zwracano nawet uwagi. „Pozbądźmy się go, za jakąbądź cenę” — mówili nieraz między sobą — „bo przez niego całe w kraju utracimy znaczenie, a on tylko uznany będzie bohaterem!”

I od téj chwili przemyśliali tylko nad tém, jakby go usunąć z widowni świata — nie mogli jednak długo stósownej znaleźć sposobności, dopóki nie upłynęło owych ośm lat, o których mówił król Egwald Zygfrydowi.

Bohater nasz ani nie przeczuwał, jaka nad głową jego zbierała się burza; nie myślał też wcale o owém proroctwie Egwalda, żyjąc z swą ukochaną żoną w szczęściu i spokoju. Florygunda obdarzyła go synem, któremu dał imię Lewhard. Ten gdy dorósł prowadził liczne, a zwyciężkie wojny z królem babilońskim, a za żonę pojął córkę króla Sycylii, o czém w innych ksiązkach obszernie opisano.

Ośm lat upłynęło już słodkiego małżeńskiego pożycia Zygfryda, gdy pewnego razu udał się z szwagrami swymi na polowanie, któremu zawsze oddawał się z namiętnością. Zmęczony kilkogodzinną gonitwą za zwierzyną, zgrzany (dzień bowiem był gorący) przyszedł Zygfryd nad źródło, aby zimną wodą ugasić pragnienie. Zobaczył to Hagen-

wald, jeden z jego szwagrów, postanowił więc skorzystać z nadarzającej się sposobności, by swój zdradziecki zamiar wykonać i pomścić się na tym, co siostrę jego z niewoli smoka wybawił. Wyjął więc miecz i przyszedłszy cicho do swęj ofiary, wbił go, aż po rękojeść w plecy Zygfyryda, t. j. w to miejsce, które nie było powłoką rogową okryte, koniec więc zabójczego żelaza dostał się aż do serca bohatera, który też niebawem życie zakończył. Tak więc w nikczemny sposób zamordowany został ten największy swojego czasu bohater i to przez blizkiego krewnego swego.

Florygunda dowiedziawszy się o nagłej i niespodziewanej śmierci swego męża, z wielkiej żałości wpadła w niebezpieczną chorobę, tak, iż lekarze zwątpili zupełnie o jęj życiu. Stary król Gilbald umarł rzeczywiście ze zmartwienia a i żona jego przecierpiała nie mało. Smutek ogólny i żałoba zapanowała nad zamkiem królewskim w Wormacyi i nie byłoby nic dziwnego, gdyby i sama Florygunda boleść tę przyplaciła życiem.

Trzję bracia wyprawili rodzicom swoim: królowi i królowej wspaniały pogrzeb, jak na władców rozległego państwa przystało, poczem chcieli zaraz podzielić się państwem i wspólnie objąć rządy, ale nie przyszło do

tęgo. A mianowicie Florygunda powstawszy z ciężkiej choroby, udała się pokryjому ze synem swym Lewhardem do Niderlandów do teścia swojego króla Zygharda, jemu opowiedziała swe nieszczęście i podstępne zamordowanie Zygfyda. Nieszczęśliwy ojciec zabolał nad losem syna-bohatera, uniósł się ogromnym gniewem i postanowił srogo śmierć jego pomścić. Zebrał w tym celu ogromne wojsko, z doborowego rycerstwa złożone i wyruszył naprzeciw trzech synów króla Gilbalda. Wojna trwała długo i była krwawą; poległo w niej wielu rycerzy nieprzyjacielskich, a między nimi i podły Hagenwald, skrytobójca. Albowiem zostawszy ciężko ranionym, gdy już opadał na siłach, nie mając innego punktu wyjścia w odmęcie walki, poddał się znanemu nam Cywilisowi, spodziewał się bowiem u niego prędkiej wyprosić życie, niż u innego walecznego wojownika. Ale omylił się grubo. Gdy bowiem zaufawszy zupełnie swemu zwycięzcy, zmęczony trudami walki, położył się pod drzewem na chwilę, aby zasnąć, Cywilis nie namyślając się długo, wydobył swój miecz i przebił nim śpiącego więźnia. »Zapłaciłem ci więc« — rzekł — »nędzniku za morderstwo syna mego pana tą samą monetą — odmierzyłem nagrodę tą miarką, którą i ty mierzyłeś!« Dwaj po-

zostali synowie królewscy Erenbert i Walter zostali wypędzeni z kraju, udali się więc na obczyznę, gdzie w wielkiej nędzy pomarli. W wojnie téj zginęli także obydwaj nasi znajomi bohaterowie: Cywilis i Jorkus. Po kilkunastu latach umarła także i Florygunda; ale syn jej Lewhard pozostał na dworze swego dziadka Zygharda, gdzie go wychowywano w cnocie i miłości ludzi, ćwicząc nadto w wszelkich umiejętnościach rycerskich, aby z czasem godnym był przodków swych następcą.

KONIEC.



Tomiki w okładce

z przepysznym kolorowanym obrazkiem.

Tom

200. **Śnieżny grób w Sierra**, czyli zagłódzenie w srebrnej minie.
201. **Porwane dziecko**. Opowiadanie z Turcyi.
202. **Kama Samojedka**. Opowiadanie historyczne.
203. **Jeniec Szykitów**. Powieść z życia indyańskiego.
204. **Mareipotama, córka Pampasów**. Opowiadanie z kraju Indyan.
205. **Wielkie skarby złota w Sierra Newada**.
206. **Na granicy kraju Indyan**, czyli bezpieczna ręka. Powieść Meksykańska.
207. **Koloniści u źródeł rzeki Susquehannah**.
208. **Harold król cyganów**, czyli skrzypce Edeleńskie. Opowiadanie z Węgier.
209. **Skalpięrze Południowej Ameryki**, czyli na wyspach rzeki Uruguay. Opowiadanie z kraju Indyan.
210. **Bogufał młody pustelnik**.
211. **Dobromił**, czyli cudowne są drogi Pańskie.
212. **Pomiedzy ludożercami w Sumatrze**.
213. **Dziwne podróże na lądzie i na morzu**.

Tomiki po 6 i 12 ct. czyli 10 i 20 fenigów.

305. **Ksiądz Placydy**. 12 ct.
306. **Krzyż drewniany**. 12 ct.
307. **Pielgrzymka przez Ziemię św.** (8 obraz.) 12 ct.
308. **Ahaswerus, żyd wieczny**. 12 ct.
309. **Korsarz czyli upiór morski**. 6 ct.
310. **Na krach czyli rybak odważny**. 6 ct.
311. **Podrzutek albo nagroda wierności**. 6 ct.
312. **Anioł pokoju**. 6 ct.

„Książeczki Ludowe“

w okładkach z przepysznymi kolorowanymi rycinami.

500. **Dokładna rozmowa kwiatami**, poświęcona miłości i przyjaźni. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.

Tom

501. **Niezapominajki.** Wybór najlepszych wierszy do Imionnika. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.
502. **Zbiór dobranych powinszowań wierszem i prozą dla dzieci i dorosłych, na wszelkie przygody i sposobności życia ułożone.** Cena 35 ct. czyli 60 fenigów.
503. **Książeczka o dobrych zwyczajach towarzyskich.** Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
504. **Zwyczajna kuchnia domowa, obejmująca przepisy potraw kucharskich.** Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
505. **Najnowszy i najdokładniejszy Sekretarz zakonanych i narzeczonych.** Z dodatkiem: Pieśni miłosne, wiersze do imionnika itd. Cena 60 ct. czyli 1 markę.
506. **Czarnoksiężnik Bosko, czyli najbogatszy zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonywania łatwo i tanim kosztem.** Z ilustrac. Cena 20 ct. czyli 35 fen.
507. **Toast polski wierszem i prozą, czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to: przy weselach, ważniejszych zebraniach, przy obchodach jubileuszowych itd.** Cena 60 ct. czyli 1 mrk., w eleganckiej oprawie, w płótnie połączanym 1 złr. 10 ct. czyli 1 mk. 80 fen.
- 508 i 509. **Polski śpiewnik, czyli zbiór 486 nowych arii i dumeek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych, miłosnych, patryotycznych, historycznych itd.** 2 tomy. Cena każdego tomu oprawn. 50 ct. czyli 90 fen., w eleg. oprawie w płótnie połączanym 85 ct. czyli 1,50 mk.

„Śmiech.“ Zebrał Nie-głupi.

W trzech częściach:

510. **Część I. Zbiór fraszek, anegdot i humorystycznych opowiadań.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 mk.
511. **Część II. Anegdoty historyczne i z życia znakomitych ludzi.** Cena oprawn. 60 centów czyli 1 mk.
512. **Część III. Anegdoty, fraszki, zdania, myśli moralne i opowiadania celniejszych humorystów polskich i obcych.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 markę.

Książki obrazkowe, zajęcia dla dzieci i dorosłych.

- ABCadlnik i pokoik mały** z 4 tabl. obrazk. i 8 stron tekstu m. 8^o. 8 ct. : 15 fen.
- ABCadlnik nowy** z obrazk. i wiersz. m. 8^o. 12 ct. : 20 fen.
- Ach! co za prześliczna książeczka obrazkowa** z wierszykami i tekstem m. 8^o. 18 ct. : 30 fen.
- Bajek 10, każda ozdobiona 6 wspaniałymi obrazkami i tekst.** 4^o każda po 60 ct. : 1 mk.
1. Mądry kot. 2. Kopciuszek. 3. Białosnieżka. 4. Głupi Janek. 5. Śpiąca królewna. 6. Czerwona czapeczka. 7. Tomcio paluch. 8. Chytry lis. 9. O Janku i Małgosi. 10. Przygody zwierząt.

- Baśń o karzełkach i pięknym lutniście, z 6 obrazkami i tekstem w. 4°. 60 ct. : 1 mk.
- Brr! Znów inny obrazek. Piękna obrazk. książka ze zmieniającymi się obrazk. i tekst. m. 4°. 85 ct. : 1,50 mk.
- Dla grzecznych dzieci. Książeczka obrazk. z wierszyk. i tekst. m. 8°. 16 ct. : 28 fen.
- Elementarz z obrazk. i tekst. m. 8°. 24 ct. : 40 fen.
- Fryc, chytry lis. Bajka z 6 obrazkami i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 fen.
- Książeczek 7, różnych, z bajkami, każda z 6 obrazk. i tekstem, m. 8°. 8 ct. : 15 fen.
- Książeczka czarodziejska z wspan. obrazk. ludzącymi i tekst. I. i II. w. 4°. opr. każda 75 ct. : 1 m. 25 f.
- Książeczki powiastkowe, 12, z obrazk., każda z 6 obrazk. w kolor. druku 32° każda po 4 ct. : 8 fen.
1. Matka i syn. 2. Lekkomysłni przyjaciele. 3. Ciekawość ukarana. 4. Robert i Ita. 5. Biedna rodzina. 6. Dzieci wśród lasu. 7. Dwaj sąsiedzi. 8. Nie wódz nas na pokuszenie. 9. Biedny Krzysztofek. 10. Burza na morzu. 11. Bozka opatrność. 12. Iwan Niedolega.
- Książek 6, nowych, z obrazk., każda składająca się z 6 przepysznych obrazków, z wierszykami, w. 4°. oprawna każda 65 ct. : 1 mk. 25 fen.
1. Złote czasy. 2. Wiosna. 3. W górach i dolinach. 4. Dobrzy przyjaciele. 5. Świat dzieci. 6. Nasi domownicy.
- Obrazki dla grzecznych i miłych dzieci, z 6 pięknymi obrazk. z tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 m. 50 f.
- Przygody zwierząt, z 6 obrazk. i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 f.
- Radość dziecięca w obrazk. z wierszyk. m. 8°. 14 ct. : 25 f.
- Rozrywki dla grzecznych i miłych dzieci. z 6 piękn. obrazk. i tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 mk. 25 fen.
- Świat baśni. Wielka wspaniała książka z 6 bajkami i 36 bardzo piękn. obrazk. 24 str. tekstu, w. 4°. w gustown. trwałej opr. 2 złr. 80 ct. : 4 mk. 50 fen.
- Wydanie z 12 obrazk. i 24 str. tekstu, w. 4°. w gustownej trwałej oprawie 1 złr. 80 ct. : 3,50 mk.
- Świątek dziecięcy w obrazach i z tekst., sztywne karty m. 8°. siln. opr. 15 ct. : 25 fen.
- Towarzysze zabawy, z 12 obrazk. i 44 str. tekst. 8°. opr. 85 ct. : 1 mk. 50 fen.
- Uciecha małych dzieci w obrazkach bez tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.
- Uciecha wielka dla małych dzieci 4°. W 3 wyd.:
 1) z 8 tabl. obrazk. i wierszyk. 36 ct. : 60 fen.;
 2) z 16 tabl. obrazk. i wierszyk. opr. 60 ct. : 1 mk.;
 3) z 16 tablic. obrazk. i wierszyk. (książka do niedorozdarcia) opr. 90 ct. : 1 mk. 50 fen.

W cyrku, z 6 tabl. obrazk. bez tekstu w. 4°. 60 ct. : 1 mk.
Zabawa w obrazach bez tekstu m. 8°. 10 ct. : 20 fen.
Zwierzęta różne z tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.
Zwierzyniec dla grzecznych dzieci z tablic. obrazkami
z wierszykami 4°. 50 ct. : 90 fen.
Z życia dzieci, 6 tablic. obrazk. wiersz. w. 4°. 60 ct. : 1 m.
Książka z obrazk. niedorozdarcia o 12 str., z obraz. i wierszyk., na kartonie naklejone. w. 4°. 2 złr. : 3,50 mk.

Artysta mały. 48 wzorów rysunkowych dla dzieci w. 8°. w gustown. okł. 65 ct. : 1 mk.
Loteryjka domowa, z 12 tabl., 90 kul numerow. i szkłem krajanem w gustown. pudełku 85 ct. : 1 mk. 50 fen.
— — Wydanie elegancko-salonowe. 1,50 złr. : 2,50 m.
Siedm. rozmaitych gier, dziecinnych i towarzyskich, w eleganckiej okładce 75 ct. : 1 mk. 40 fen.
Młotek i dzwonek. Gra nadzwyczaj zajmująca w eleg. pudełku drewn. z kostkami i objaśnieniem; stosownie do wykończenia w 3 różnych wydaniach po 35 ct. : 60 f., 45 ct. : 75 fen., 65 ct. : 1 mk.
Szkoła malarstwa mała. Książk. z kolor. i czarn. obr. Kolor. jako wzór, czarne jako tło do malow. 4 num.:
1) Nm. 123 m. 8°. 6 ct. : 10 fen., 2) Nm. 322 m. 8°. 8 ct. : 15 fen., 3) Nm. 550 4°. 16 ct. : 28 fen., 4) Nm. 552. w. 4°. 42 ct. : 70 fen.
Tabliczka łupkowa pierwsza. Książeczka z papieru łupkow. z wzorami do rysow., m. 8°. 40 ct. : 70 fen.
— — Z większą liczbą tablic i gustowniejsze wydanie. m. 4°. 60 ct. : 1 mk.
Wzory do rysowania. Nowe, na tabliczce. Zawieraj. 6 tablic z rysunk. na obu stron. w. 4°. 75 ct. : 1,25 m.
Zbiór nowych 6 gier dziecinnych i towarzyskich, m. fol. w eleg. okładce 75 ct. : 1 mk. 25 fen.
— — Tylko gry pojedyncze naklejone na tekturze. 1 złr. 15 ct. : 2 mk.

Najnowsza i nader zajmująca gra towarzyska dla dzieci dorosłych p. n.:

„Wojna europejska“

między Austryą, Francją, Niemcami i Rosyą.

Cena sztuki w eleganckiem pudełku 1 złr. 38 ct.
czyli 2 marki 25 fenigów.

60





Książnica Cieszyńska

KD I 2